

Hass, Ludwik

Cenzura i inne mechanizmy sterowania historykami w PRL : osobiste doświadczenia i przemyślenia

Mazowieckie Studia Humanistyczne 3/2, 85-102

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ludwik Hass

**CENZURA I INNE MECHANIZMY STEROWANIA
HISTORYKAMI W PRL
(Osobiste doświadczenia i przemyślenia)**

Cenzura PRL-owska jest zamkniętym fragmentem, raczej drobnym podrozdziałem niż choćby rozdziałem, dziejów PRL. Poważniejsze bowiem zastanowienie się nad rolą tej instytucji w życiu umysłowym i publicznym, zwłaszcza w rozwoju historiografii polskiej, w ciągu minionych ponad czterech dekad prowadzi do wniosku, że była jednym z kilku instrumentów, jakimi warstwa biurokracji stalinowskiej w Polsce ukierunkowywała twórczość historyków krajowych, sterowała nią i reglamentowała. W tym skomplikowanym mechanizmie cenzura pełniła niejako rolę – że odwołam się do średniowiecznej analogii – „ramienia świeckiego” Świętej Inkwizycji, czyli Wydziału Nauki Komitetu Centralnego PZPR, bądź nawet jego Biura Politycznego. Rządzący sięgali po jej sankcje, kiedy innymi drogami czegoś osiągnąć nie potrafili. Obecnie, gdy również dzieje PRL i nią rządzącej faktycznej monopartii należą do przeszłości, nic – wydawałoby się – nie stoi na przeszkodzie pełnemu zbadaniu przez historyka zasygnalizowanego mechanizmu oddziaływania na historiografię, wypowiedzeniu się na temat szkód, jakie przyniósł rozwojowi badań historycznych, korzyści przecież – co być winno chyba sprawą ewidentną, bezsporną – z natury swej przynieść nie mógł. Chyba, że staniemy na stanowisku, iż istnieją kwestie, dziedziny, w których ujawnienie całej prawdy, nawet po upływie sporego czasu, wręcz wieków, nie jest wskazane, nawet szkodliwe. *Casus Liber chamorum* Waleriana Nekanady-Trepki, opracowania – niechaj będzie że paszkwilanckiego, lecz dotyczącego ludzi od wieków już nieżyjących – każe się poważnie zamyśleć. Wszak próba wydania tego utworu drukiem w pierwszych latach naszego wieku została storpedowana, a ukazanie się – dopiero w PRL – niejako było uwarunkowane uprzednim obaleniem dotychczasowych porządków społecznych i politycznych naszego kraju. Wypada się zastanowić nad mechanizmami rozmaitego rodzaju cenzur, zwłaszcza zaś nieformalnych, za to szczególnie długotrwale funkcjonujących.

Ograniczając się zaś do wspomnianych nieformalnych mechanizmów cenzury PRL-owskiej, to – już na wstępie – wypada zaznaczyć, że uczestniczyli w

nich również ludzie nadal funkcjonujący w środowisku historyków, nieraz w tym czy innym ich kręgu cieszący się autorytetem. Niektórzy z nich, o czym będzie jeszcze mowa, piekli przy tym ognisku represji swoje prywatne pieczenie. Nie-wykluczone zatem, że przytoczenie takich nazwisk bądź uniemożliwiłoby publikację przyczynków na temat zasygnalizowanej w tytule problematyki, bądź narażiłoby piszącego na rozmaite przykrości, do procesów sądowych włącznie. Zaskarżony nie zawsze mógłby dostarczyć materialnych dowodów potwierdzających podane przez siebie informacje. Najczęściej raczej prócz własnego zapewnienia, że tak było, na nic nie mógłby się powołać. W jednych przypadkach świadkowie opisywanych przezeń faktów nie żyją, w innych najczęściej odmówią ich potwierdzenia („przecież Pan rozumie, nie wypada mi tego uczynić, są względy...”; czy też wręcz – „nie płacz mnie w swoje sprawy”). W tej sytuacji w poniższych rozważaniach została zastosowana – ze wspomnianej konieczności – maksyma, może niezbyt moralna, a będąca odwrotnością normy, zresztą dla historyków zabójczej, czyli *de mortuis nihil nisi bene*. Więc w danym przypadku żyjący, o których wypadnie wypowiadać się negatywnie, pozostaną bezimienni, przynajmniej względnie. Historycy starszych pokoleń na ogół ich rozszyfrują. I jeszcze jedno przedstawione ograniczenie, natury już ściśle indywidualnej, będzie dotyczyć wyłącznie dziesięcioleci po 1956 r., czyli tych czasów PRL, które piszący zna z autopsji. Dopiero bowiem w połowie 1957 r. uzyskał możliwość powrotu do Polski.

Najogólniej biorąc, oddziaływanie cenzury w ścisłym słowa znaczeniu na historiografię polską można podzielić na czynne i bierne. W pierwszym przypadku będzie to bardziej czy mniej bezpośrednia ingerencja urzędu w teksty autorskie, po uniemożliwienie ich ukazania się włącznie. Temu na ogół bywają poświęcone rozmaite przyczynki, w jakimś stopniu również niniejszy. Mianem biernego oddziaływania można określić utrudnianie korzystania z opublikowanych opracowań, wydawnictw źródeł bądź czasopism przez niedopuszczanie ich do obiegu, również naukowego.

Ta druga funkcja cenzury, zdaniem piszącego, raczej niewiele szkód poczyniła w naszej nauce historycznej. Do publikacji bowiem zagranicznych czy krajowych sprzed 1945 r., jeśli były przechowywane w polskich bibliotekach naukowych w PRL, nawet gdy ich udostępnienie było obwarowane najsurowszymi rygorami – odrębna sprawa to archiwalia i pokrewne rękopisy względnie maszynopisy – badacze potrafili dotrzeć. Oczywiście, wymagało to zabiegów dla niejednego mocno kłopotliwych, choćby pisma cieszącego się autorytetem opiekuna naukowego danego historyka. Pewne utrudnienie polegało na tym, że karty katalogowe „trefnych” tytułów nie wszędzie włączano do ogólnie dostępnych katalogów. Trzeba więc było posiadać odpowiednią na ten temat wiedzę, której nigdzie nie wykładano, mogli nią służyć jedynie bardziej doświadczeni koledzy, niekiedy również pracownicy biblioteczni. Spotkać też można było takich „roz-sądnych” badaczy, którzy nie pragnęli zapoznać się z zabronionymi pozycjami,

żeby głowy sobie nie „zamulać” niesłusznymi wiadomościami czy poglądami. Wszak nawet mimowoli mogą potem dojść do głosu w twórczości, w konsekwencji więc stać się źródłem trudności cenzuralnych czy przykrości politycznych. Tacy „racjoniści” na usprawiedliwienie swoich mniej czy bardziej ewidentnych przekłamań, jeśli nie czegoś gorszego, po latach twierdzili, że nie wiedzieli, nawet czegoś o czym w maglu opowiadano, gdyż nie mieli dostępu itd.

Pewne tytuły były autentycznie, fizycznie, niedostępne z tej prostej przyczyny, że biblioteki naukowe ich nie nabyły. Kierownictwa jednych księżnic tak postępowaly, nie chcąc narażać się na zarzuty, że sprowadzają z zagranicy „szkodliwe śmiecie”, inne – raczej bardzo nieliczne – tak postępowaly z rzeczywistego głębokiego przekonania. Jeszcze inne – w sytuacji niemal stałego niedoboru dewiz – stojąc wobec dylematu co zakupić, wołały sprowadzać z zagranicy książki, którymi nie narażałyby się władzy zwierzchniej czy własnej organizacji partyjnej. Sytuacje tego rodzaju, częstsze na prowincji, rzadkie zaś w Warszawie, nie tylko zubożały wiedzę historyczną, miały jeszcze drugą stronę, nazwijmy ją umownie personalną. Stosunkowo nieliczni, którzy uzyskali stypendia na wyjazdy naukowe na Zachód, automatycznie okazywali się w sytuacji uprzywilejowanej. Mieli tam możliwość korzystania z „owocu zakazanego”. To poniekąd rzeczywiście wzbogacało ich horyzonty naukowe, co więcej – następnie umożliwiało czynić w publikacjach aluzje bądź zamieszczać informacje, nawet odsyłacze źródłowe, dzięki którym zdobywali opinię odważnych i wiele wiedzących. Niekiedy badacz potrafił dotrzeć również do pozycji nie znajdujących się w księgozbiorach publicznych, bez wyjazdu z kraju. Przywozili je bowiem ze sobą, w ten czy inny sposób, omijając kontrole graniczne, powracający z delegacji zagranicznych. Jednostki ze świata nauki, odgrywające zarazem ważną rolę w życiu publicznym, miały nawet w paszporcie zagranicznym jakąś zaszyfrowaną adnotację, mówiącą że nie podlegają kontroli celnej. Inni, również tylko nieliczni, załatwiali sobie przewóz prohibitorów przez przekazywanie ich drogą dyplomatyczną do MSZ, skąd je następnie odbierali. Cenzura zaś część książek i periodyków, zatrzymanych w urzędach pocztowych bądź na granicy, przekazywała mniej czy bardziej – jej zdaniem – godnym uczonym. Tego rodzaju różnorodni szczęściarze, jeśli nie byli tchórzem podszyci, kierując się rozmaitymi motywami czy w przystępie dobrego humoru, takie publikacje udostępniali niektórym już mniej godnym znajomym.

Nieporównanie istotniejsza dla rozwoju historiografii była owa czynna, inżyneryjna funkcja cenzury, spośród rozmaitych sposobów oddziaływania na twórczość historyków najłatwiej uchwytana. Poniższe jej omówienie wymaga kilku wstępnych konstatacji i uwag. Jest ono na swój sposób subiektywne. Jego źródłem są bowiem wyłącznie doświadczenia osobiste, w których – z natury rzeczy – element przypadku niewątpliwie odgrywa pewną rolę. Nie badałem przecież archiwów cenzury. Pozostawiam to zajęcie m.in. niejednemu z takich, którzy ko-

rzystali z jej płaszcza ochronnego, choćby po to, żeby za jego pomocą topić swoich rywali naukowych (przykład tego rodzaju przytoczę). Pragnę zresztą – przy sposobności – zwrócić uwagę, że zachowane archiwalia tego urzędu uległy już selekcji nie tylko losowej, co jest udziałem wszelkiej dokumentacji historycznej, lecz od końca 1989 r. czy też od roku następnego innej, w pełni świadomej i ukierunkowanej, analogicznie i z podobnych względów, jak dokumentacja aparatu bezpieczeństwa. Ulubieńcy czy pomocnicy nowej władzy – nieraz też byli nimi „zawodowi” pomocnicy każdej władzy, więc i poprzedniej – zadbali przecież o to, żeby nie padło na nich światło nienajlepsze. Zresztą, co może istotniejsze, od upowszechnienia się telefonu nie wszystko znajduje odzwierciedlenie na papierze. Przekazane tą nową drogą techniczną sugestie, rady, nawet istotne polecenia niejako bezpowrotnie – jeśli nie odnotuje ich po latach pamiętnikarz, kwestia na ile rzetelny – siłą rzeczą umykają z pola widzenia historyka. Wreszcie odwieczny problem życia, nie tylko publicznego: teoria a praktyka, czyli, w przypadku naszego wątku, kwestia pojmowania przez urzędnika, nie tylko cenzury, otrzymywanych dyrektyw i ich realizacji. Im bardziej jest zaawansowana biurokratyzacja, tym bardziej wszystko to komplikuje się. W systemach mniej czy bardziej autokratycznych – biurokracja może świetnie rozwijać się nawet w ustrojach demokratycznych, przykładem Francja – nakładają się na to walki grupowe na szczytach warstwy biurokracji (tzw. walki frakcyjne). Bierze je w swoim służbowym zachowaniu pod uwagę nawet szeregowy członek aparatu władzy, niekiedy świadomie opowiada się po stronie jednej czy drugiej grupy. Toteż poniższe będzie się opierać wyłącznie na osobistych doświadczeniach i własnych przemyśleniach.

Z problemem cenzury urzędowej zetknąłem się w 1958 r., zatem odkąd zacząłem publikować i brać udział w dyskusjach historyków. Odtąd też towarzyszył mi on – w tej czy innej formie – w ciągu trzech dziesięcioleci, tj. do likwidacji tej instytucji. Już nieco wcześniej wiodła ona żywot efemeryczny, jeszcze istniała, lecz przestała być groźna, nie ingerowała w teksty. Mimo tak długiego czasu naszej przymusowej znajomości nie zaznałem zaszczytu – z jednym jedy-
nym wyjątkiem, o którym jeszcze będzie mowa – przekroczenia progu tej instytucji, tym bardziej osobistego rozmawiania z jej funkcjonariuszami w sprawie swoich tekstów. Zatem ani razu nie zaproponowano mi zamieszczenia takiego czy innego akapitu. Również ani jeden z maszynopisów moich przyszłych publikacji książkowych czy rozpraw naukowych w periodykach nie zawędrował na ulicę Mysią (siedziba Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk oraz jego terenowej placówki warszawskiej). Widocznie takie procedury były zarezerwowane dla ważniejszych osobistości świata pióra, do grona których mnie nie zaliczano. Natomiast owo długotrwałe „współzycie” na odległość z tą instytucją pozwala mi na sformułowanie pewnych wniosków o jej funkcjonowaniu czy roli w rozwoju naszej historiografii.

Na czoło wysunąłbym kwestię tematyki. Dla każdego piszącego było oczywistością istnienie tematów, których rzetelne potraktowanie nie jest możliwe, jeśli pragnie się, żeby publikacja na ich temat ukazała się legalnie, zaś drugi obieg prac historycznych, sygnowanych autentycznym nazwiskiem, do późnych lat siedemdziesiątych nie istniał. Nie sądzę też, żeby ktokolwiek z naszego grona pisał do szuflady. Do takich zagadnień należał Katyń czy mordowanie komunistów – w tym też polskich – w ZSRR. Chyba żaden historyk nie żywił w tej kwestii wątpliwości. Chcąc być rzetelny mógł nie koncentrować się na takiej tematyce, mógł wybierać sobie inną. Nie znam przypadku, żeby kogokolwiek zmuszano do podejmowania podobnej tematyki, co najwyżej kuszono do niej prebendami. Każdy miał zatem możliwość wybierania sobie takiej, która dawałaby się traktować rzetelnie, przynajmniej w miarę. Ja np., będąc zdecydowanie krytycznie usposobiony do taktyki Frontów Ludowych partii robotniczych i postępowych mieszczańskich (lata trzydzieste XX w.) nie poświęciłem tej problematyce ani jednego artykułu, również partycypującej w niej lewicy PPS, otaczanej wówczas w naszej historiografii mnóstwem zachwytów. Wiedziałem wszak, że mój punkt widzenia nie ma szans na ujrzanie w druku światła dziennego. Zajmując się problematyką ruchu robotniczego, znajdowałem sobie inne wątki, jak można się przekonać z bibliografii moich prac.

Jednak na temat ograniczeń tematycznych stawianych przez cenzurę w środowisku historyków przeważała opinia superostrożna. Rzecz zaś miała się jak z owym sławetnym puddingiem – o jego smaku można się przekonać jedynie jedząc go. Znaczenie miał też styl, język wykładu. Napisane spokojnie, niejako skromnie, a zaopatrzone w spory aparat naukowy, cenzura przepuszczała, przeoczała nasuwające się wnioski, nawet wcale nie „bogobojne”. Natomiast to samo utrzymane w stylu patetycznym zwracało na siebie jej uwagę, więc reagowała. Pierwszy raz przekonałem się o tym w związku z VIII Powszechnym Zjazdem Historyków jesienią 1958 r. w Krakowie. Zabrałem wtedy głos w Sekcji Historii Nowożytnej nad referatem o problemach międzywojennego polskiego ruchu robotniczego, wygłoszonym przez jednego z ówczesnych partyjnych historyków-matadorów. Między innymi postawiłem jednoznacznie jako problem wymagający zbadania kwestię ewolucji Komunistycznej Partii Polski (KPP), mianowicie tę, że partia, która na początku lat dwudziestych potrafiła przeciwstawiać się Międzynarodówce Komunistycznej – m.in. jeden z jej prominentnych działaczy w okresie marszu Armii Czerwonej na Warszawę w 1920 r. opublikował artykuł krytykujący ostro to postępowanie i nie doznał za to represji partyjnych – w 1938 r. nie tylko z pokorą przyjął swoje rozwiązanie, formalnie przez Międzynarodówkę, lecz nie zdobyła się na oprostowanie oszczerczych zarzutów, jakimi ten krok został uzasadniony. Rozmaite „ciotki rewolucji” wprawdzie nie podjęły ze mną dyskusji, lecz potem w Warszawie z oburzeniem rozpowiadały o moim wystąpieniu. Znajomi byli przekonani, że ten mój głos w dyskusji nie ma

najmniejszych szans na publikację. Mimo to przekazałem go w pisemnej formie zjazdowej (ściśle biorąc – już pozjazdowej) komisji redakcyjnej i w 1960 r. ukazał się bez najmniejszej zmiany w materiałach zjazdowych¹.

Inny przykład. W 1961 r. redaktor działu historii najnowszej miesięcznika „Mówią Wieki” – znała mnie z seminarium historycznego na Uniwersytecie Warszawskim – zwróciła się do mnie z propozycją napisania artykułu o Maju 1926 r. Później dowiedziałem się, że już wcześniej rozmawiała o tym z młodymi historykami, wówczas będącymi na topie, ci zaś odmówili. Uznali za rzecz nie do pomyślenia, żeby artykuł na ten temat, w miarę rzetelny, cenzura dopuściła do druku, i to w periodyku względnie wysokonakładowym a przeznaczonym dla młodego czytelnika. Napisałem, i mój dwuczęściowy esej ukazał się – o ile pamiętam – bez jakiegokolwiek ingerencji cenzuralnej². Osmielony, w tymże piśmie opublikowałem na przełomie lat 1964/1965 – czyli w czasie kiedy z odwilży październikowej pozostało niewiele, jeśli w ogóle coś – trzyczęściowy szkic o Legionach Polskich Józefa Piłsudskiego. Również i z nim większych przygód nie było³. Obu tych utworów popularno-naukowych również obecnie nie wstydzę się, wyrażają punkt widzenia, który nadal wyznaję. Jeśli dostrzegam w nich błędy, to wyłącznie natury erudycyjnej, dotyczące szczegółów. Dodam jeszcze, że prof. gen. Marian Kukiel w jednym ze swoich cotygodniowych przeglądów nowości historycznych na falach Radia Wolna Europa dostrzegł mój artykuł „legionowy” i wyraził zdziwienie, iż rzecz bez tradycyjnych już obelg, wręcz zawierająca nutki sympatii dla Legionów, mogła się ukazać w PRL (fragment tej wypowiedzi przedrukował krakowski tygodnik „Przekrój”).

Przytoczone przypadki nie mogą stanowić podstawy dla wniosków o jakimś okresowym zliberalizowaniu się cenzury. Raczej uspokajał ją spokojny, rzeczowy ton publikacji i brak sygnałów z zewnątrz o szykującym się wystąpieniu prasowym, zawierającym jakieś niepożądane akcenty. Cenzorzy nie byli przecież osobami obeznanymi ze stanem historiografii danego tematu, nie specjalizowali się w określonych dziedzinach. Skoro napisane nie zawierało bezpośredniej polemiki z punktami widzenia reprezentowanymi przez ówczesnie „miarodajnych” historyków, ani nie mówiło o współczesności, nie dostrzegali racji dla interweniowania. Niektórzy zaś, nadmiernie upolitycznieni historycy, ustawicznie wężący skąd wiatr wieje, bywali bardziej wyczuleni na aluzje polityczne w publikacjach historyków. Wręcz dostrzegali je w opisach czy rozumowaniach, które samemu piszącemu nie kojarzyły się ze współczesnością. Tak więc jeden z mo-

¹ *VIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich*, [zesz.] *V, Historia Najnowsza Polski*, Warszawa 1960, s. 217–220.

² *Zamach majowy 1926. Geneza i miejsce w dziejach międzywojennej Polski*, „Mówią Wieki” 1961, nry 10, 11.

³ *Legiony Polskie z perspektywy półwiecza*, „Mówią Wieki” 1964, nry 11, 12; 1965, nr 1.

ich przyjaciół-historyków w związku z ostatnim odcinkiem „Legionów...” powiedział mi: Ludwiku, czy ty sobie za dużo nie pozwoliłeś? Przecież pisząc niby to o zachowaniach i losach elity legionowej po 1926 r., w istocie szkicowałeś grupę „partyzantów” (sięgająca wówczas po władzę klika skupiona wokół gen. Mieczysława Moczara). Ja natomiast – szczerze przyznaję się do tego również obecnie – niczego podobnego wtedy nie miałem na myśli.

Mam podstawy nie wątpić, iż niektórzy z tak mocno zatroskanych o dobro PRL sygnalizowali swoje wnioski temu czy owemu pracownikowi cenzury. Oczywiście, nie w formie formalnego donosu, lecz w toku przyjacielsko-partyjnej rozmowy, nie na piśmie. W danym przypadku było to już „po balu”, artykuł przecież ukazał się. Zaś cenzura nie miała możliwości zrewanżować się za swoje przeoczenie wzmoczoną „czujnością”, gdyż niebawem na kilkanaście miesięcy dokumentnie zamilkłem, najzwyczajniej zostałem aresztowany..., nie za publicystykę historyczną.

Nieco wcześniej mogłem przekonać się, że cenzura, z natury swej fachowo nie przygotowana do oceny zawłości problematyki historycznej, za to uważnie przysłuchuje się prewencyjnym sygnałom na temat nieprawomyślności, jakie niewątpliwie znajdują się w przygotowywanych do druku publikacjach tego czy innego historyka. Doświadczyłem tego w przypadku mojej pierwszej publikacji książkowej, wyboru źródeł do dziejów międzywojennej PPS-Lewicy⁴. Z racji tematu umowę na nią zawarło ze mną wydawnictwo partyjne – „Książka i Wiedza”. Odpowiednio też nadzór naukowy nad pozycją autora jeszcze niezbyt znanego, lecz z wielce nieprawomyślną przeszłością, udzielającego się w niebawem rozwiązanym Klubie Krzywego Koła, zarezerwował sobie wicedyrektor Zakładu Historii Partii przy KC PZPR, prof. Józef Kowalski. Z rozmowy ze mną, umowa już została wcześniej zawarta, wyciągnął wnioski, iż mam niewłaściwe podejście do tematu, błędnie wartościuję działaczy owej partii. Toteż szczerką odbitkę książki – jeszcze przed złamaniem – przekazał do zaopiniowania dwu swoim niewysokiego lotu pracownikom. Ci orientowali się, że w materiale winni znaleźć niepoprawności w doborze źródeł i moich do nich przypisach. Starali się też ile mogli. Lecz nie orientowali się w jakim kierunku mają zmierzać ich poszukiwania. Toteż, kiedy na spotkaniu z redaktorami z wydawnictwa i ze mną zaczęli przedstawiać zarzuty, szef najzwyczajniej im przerwał, po czym zarządził, żeby materiał źródłowy uporządkować nie według powszechnie stosowanego w tego rodzaju edycjach kryterium chronologicznego, lecz aby przekazy zgrupować według ich proveniencji, a dopiero w obrębie każdej takiej części chronologicznie. Zaś dokumenty wewnętrznej opozycji w PPS-Lewicy, mającej na pieńku z KPP, winny zostać uwzględnione jedynie jako „Załączniki” i to w postaci arcyzwiązłych regestów.

⁴ *PPS Lewica 1926–1931. Materiały źródłowe*, oprac. i przypisami zaopatrzył L. Hass, Warszawa 1963.

Po zakończeniu tej „narady produkcyjnej” poprosił mnie o pozostanie. W rozmowie w cztery oczy zarządził, zaznaczając, że „taka jest wola partii”, inaczej rzecz nie ukaże się, żebym z zamieszczonych zeznań na policji przywódcy PPS-Lewicy Andrzeja Czumy usunął akapit mówiący o sumach przekazanych jego partii przez KPP. Na moje zastrzeżenia zareplikował, że przecież żadna partia nie ujawnia swoich finansów, jak gdyby sprawa dotyczyła partii aktualnie czynnej⁵. Rozmowę zakończyła jednoznaczna propozycja, abym zmienił tematykę swoich zainteresowań badawczych, przecież świat nie kończy się na ruchu robotniczym⁶. Niechcący oddał mi przysługę, zmuszony zająłem się dziejami inteligencji i wolnomularstwa, co zaowocowało chyba nieźle.

Ostrzeżone zaś wydawnictwo zleciło dodatkową weryfikację mojej książki swemu konsultantowi historycznemu, którym był nie kto inny, jak przedpaździernikowa osobistość – Jakub Berman. W rozmowie ze mną m.in. zaproponował usunięcie przekazu policyjnego o II Kongresie PPS-Lewicy (1–2 lutego 1931 r. w Łodzi), zawierającego wystąpienie Włodzimierza Sokorskiego (w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych szef Polskiego Radia i Telewizji), gdyż błędnie streszczone zostały tu jego wywody na temat Centrolewu. Oponowałem, wskazując, że jakkolwiek brzmią absurdalnie, przecież są identyczne z ówczesnym stanowiskiem w tej sprawie KPP, której młody Sokorski był członkiem. Wskazał też na niecelowość zamieszczenia tekstu wystąpienia na jednym ze zgromadzeń PPS-Lewicy Władysława Gomułki. Na żadną z tych i kilku innych propozycji nie wyraziłem zgody, dość ostro argumentowałem. Widocznie inni rozmówcy tego konsultanta bywali bardziej ugodowi, skoro – jak mi po wyjściu od niego powiedziała obecna przy tej rozmowie redaktor książki – jeszcze nigdy nie widziała go tak poirytowanego. Lecz rzecz na tym nie zakończyła się – doszło do ingerencji cenzury, zakwestionowane przez konsultanta wydawnictwa przekazy sama usunęła (ich szczotkowe odbitki zachowałem)⁷. Prof. Kowalskiego nie satysfakcjonował poprzedzający publikację źródeł zarys dziejów PPS-Lewicy mego pióra, więc – bez mojej wiedzy – polecił go usunąć. W rezultacie mój „Wstęp” został ograniczony do problematyki wyłącznie edytorskiej. Wietrząc zaś, że mimo wszystko coś niewłaściwego przemyciłem, czego nie wyłowiono, zdecydowałem,

⁵ Pozostał z niego jedynie regest i jeden, raczej nieistotny akapit. W ten sposób wskazałem dociekliwemu badaczowi potencjalnemu, gdzie znajdzie informacje, *ibidem*, s. 445, dok. 195.

⁶ Por. *Mój stosunek do współczesnego wolnomularstwa u nas jest w zasadzie pozytywny*, z prof. L. Hassem rozmawia E. Wichrowska, „Ars Regia” 1993, nr 1, s. 119.

⁷ Z wystąpienia W. Gomułki pozostał jedynie regest (*PPS Lewica ...*, s. 420, dok. 187), zaś istnienie przekazu zawierającego wystąpienie W. Sokorskiego zasygnalizowałem w przypisie do innego (s. 469, dok. 202, przyp. 5). Perypetii z publikacją uważny czytelnik mógł domyślić się z metki wydawniczej informującej, że książkę oddano do składu 16 maja 1961 r., zaś podpisano do druku 25 marca 1963 r.

że – wbrew pierwotnemu ustaleniu z wydawnictwem – książka nie ukazała się pod firmą Zakładu Historii Partii, czego boleśnie raczej nie przeżywałem.

O daleko posuniętej niesamodzielności cenzury przy podejmowaniu istotniejszych decyzji tego typu, świadczyć mogą zupełnie niekonfliktowe perypetie tuż potem podjętej przeze mnie – wspólnie z innym historykiem – analogicznej edycji źródeł Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej „Samopomoc”, ugrupowania podobnie jak PPS-Lewica uzależnionego od KPP i przez nią sterowanego. Tyle tylko, iż książka ukazała się w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, która nie zatroszczyła się o kuratelę polityczną nad nią. Nauczeni losami poprzedniej pozycji, zdecydowaliśmy – współautor i ja – nikomu ani słowa o naszym przedsięwzięciu nie opowiadać. Więc zlikwidować możliwość jakiegokolwiek ostrzeżenia cenzury. Toteż jej ingerencja ograniczyła się do uzgodnionego ze mną – za pośrednictwem redaktora pozycji – jednego (dosłownie jedyngo) nieistotnego zdania we „Wstępie”. Nikt nie zgłosił zastrzeżeń do wyłącznie chronologicznego układu przekazów, niezależnie od ich proveniencji. Co zaś bardziej pouczające, cenzura nic nie wiedziała o rzekomej regule, iż spraw finansowych nie publikuje się. Nie została więc zakwestionowana wzmianka w tekście proveniencji KPP-owskiej o środkach wydzielonych przez kierownictwo tej partii na działalność „Samopomocy”⁸.

Przyjacielsko-towarzyska nieformalna donosielska współpraca z cenzurą raczej nielicznych historyków z rzadka bywała przez nich wykorzystywana również dla pogięcia swoich konkurentów. Tak więc gdzieś jesienią 1968 r. cenzura nieoczekiwanie usunęła z „Kwartalnika Historycznego” moją politycznie całkowicie niewinną i zupełnie bezaluzijną recenzję świeżo wydanych w Warszawie pamiętników Wincentego Witosa z jego przymusowego pobytu w Czechosłowacji. Uczyniła to bez podania jakiegokolwiek uzasadnienia. Kiedy zaś zaniepokojona sekretarz redakcji zapytała się jak ma w tej sytuacji postąpić z moją rozprawą złożoną w redakcji „Najnowszych Dziejów Polski”, usłyszała odpowiedź, że jeśli przedstawi ją dopiero za kilka miesięcy, wówczas sprawa wyglądać będzie, być może, inaczej. Wynikałoby stąd, iż zostałem objęty kolejną listą zakazów publikowania, mającą ograniczony okres ważności. Znana bowiem była tego rodzaju praktyka, zwłaszcza po Marcu '68. Pozostając od momentu przedterminowego zwolnienia mnie z więzienia wczesną jesienią 1966 r. bez zatrudnienia etatowego, byłem tą nową moją sytuacją wielce zaniepokojony – wszak oznaczała czasową utratę jednego z moich arcykromnych źródeł utrzymania – wręcz zdesperowany. Zwróciłem się zatem z prośbą o poradę do obytego z manipulacjami cenzury i realistycznie je traktującego kierownika Redakcji Historii

⁸ *Zjednoczenie Lewicy Chłopskiej Samopomoc 1928–1931*, oprac., wstęp i przypisy B. Dy-mek, L. Hass, Warszawa 1964, s. 83–84, 85. W danym przypadku książka została oddana do składu 24 lutego 1964 r., a podpisana do druku już 11 maja tego samego roku.

PWN, a mojego znajomego jeszcze z czasów gdy był sekretarzem redakcji „Mówią Wieki” Edwarda Frąckiego. Powiedziałem mu, że zamierzam napisać list do premiera, którym wówczas był Józef Cyrankiewicz i postawić w nim kwestię, że w moim przypadku tego rodzaju decyzja równoznaczna jest ze skazaniem na śmierć głodową; po cóż więc zostałem przedterminowo zwolniony z więzienia – żeby mnie „humanitarnie wykończyć”. Frącki przede wszystkim wyraził wątpliwość, czy rzeczywiście znajduję się na niedawnej liście dwudziestu kilku – wydaje mi się – osób objętych zakazem publikowania, jako że czytał ją i raczej nie mógłby mego na niej nazwiska przeoczyć. Jednak poszedł raz jeszcze ją oglądnąć, przechowywana była w kasie pancерnej redaktora naczelnego pionu humanistycznego Wydawnictwa. Powrócił z miną triumfalną – miał rację, mnie w spisie nie było! Wobec tego poradził mi „nie skakać na najwyższy szczebel”, zawsze pozostanie czas na to, a zwrócić się ze skargą do prezesa GUKPPiW.

Rady posłuchałem i 10 września 1968 r. wysłałem do tegoż prezesa list polecony, w którym przedstawiłem wspomnianą wyżej argumentację. Niebawem dodatkowo zdezorientował mnie nowy fakt. Oto w publikacji wydawanej we wrocławskim „Ossolineum” bez jakichkolwiek przeszkód ukazała się moja rozprawa, co przemawiałoby przeciwko wersji zakazu publikowania. Wszak te same zarządzenia cenzury obowiązują w stolicy i na prowincji. Po upływie miesiąca otrzymałem pismo dyrektora departamentu GUKPPiW Bohdana Sowadskiego z prośbą o skomunikowanie się telefoniczne dla ustalenia daty spotkania, na którym uzyskam wymagane przeze mnie wyjaśnienia (pismo z 10 października 1968 r., znak DN-06/13/68). Taka kurtuazja w stosunkach pomiędzy urzędem a petentem była ówczasie niecodziennością. Kiedy zaś doszło do owego spotkania, usłyszałem od Sowadskiego, że zaszło przykre nieporozumienie – podległy mu urzędnik zamiast dokonać ingerencji w tekst, usunął go. Zapewnił mnie też, iż Główny Urząd nie zamierzał mnie represjonować, o czym świadczy ów wspomniany przeze mnie artykuł „wrocławski”, który miał pod ręką i pokazał mi go. Dodał też, iż w sprawie konfiskaty recenzji usiłował już skomunikować się z redaktorem naczelnym „Kwartalnika”, żeby gafę naprawić, lecz nie zdołał dodzwonić się do niego. Zatem upoważnia mnie do przekazania mu, iż ową recenzję może włączyć do najbliższego zeszytu czasopisma. Racjonalnie zaś będzie, jeśli ktoś z redakcji uprzednio podejdzie do niego, on zaś wskaże mu inkryminowane zdanie podlegające przeredagowaniu. Rozmowę zakończył pytaniem–zwrotem, czy incydent możemy uznać za załatwiony, co w ówczesnym klimacie i w tej instytucji brzmiało dość niecodziennie. Dodał też, iż pismo moje było skierowane do prezesa GUKPPiW, ten jednak wobec faktu, że incydent – zapamiętałem sobie, iż tego wyrażenia użył – wydarzył się w jego, tj. Sowadskiego, Departamencie, polecił mu przeprowadzić ze mną rozmowę wyjaśniającą. Z „Kwartalnika” poszedł więc ze skonfiskowanym tekstem do cenzury zastępcą redaktora naczelnego, prof. Stanisław Trawkowski. Został już nowego

dyrektora Departamentu – Sowadski na tle tragedii rodzinnej popełnił samobójstwo – który poprosił go o danie mu dwutygodniowej zwłoki dla zorientowania się w sprawie. Po upływie tego czasu prof. Trawkowski usłyszał od niego, że tekst może zostać opublikowany, już zmiany nie było o jakiegokolwiek ingerencji. Recenzja rzeczywiście ukazała się⁹.

Wszystko to przedstawiało się dość dziwnie, tajemniczo. Z czasem dowiedziałem się jak sprawa w rzeczywistości przedstawiała się. Okazało się, iż pewien historyk dziejów najnowszych, osoba arcyrzutka i „swój człowiek” w Wydziale Nauki KC PZPR, później prywatny doradca sekretarza Komitetu Warszawskiego PZPR, Józefa Kępy, w sprawach historyków (nie historii!) – zresztą również aktualnie będący na topie – zapewnił znajomego pracownika cenzury, że na wspomnianej liście zakazanych autorów nie znalazłem się przez przeoczenie maszynistki, które zostanie naprawione – przyjdzie uzupełnienie wykazu. Ten zaś nie miał podstaw nie wierzyć mu, zatem z urzędniczą gorliwością, nie czekając na zapowiedziany aneks, usunął moją recenzję. Sprawa wyszła na jaw po otrzymaniu przez prezesa GUKPPiW mego listu. Sowadski usiłował ratować twarz Urzędu opowiadaniem o pomyłce, jego następcą o tym wybiegu nie wiedział, nie pozostał wszak po nim ślad na papierze.

Generalnie biorąc, z cenzurą oficjalną, czyli w wąskim słowa znaczeniu, więc realizowaną bezpośrednio przez urzędników, zajmując się ówczesnie historią Międzywojnia i pierwszą dekadą XX w., kłopotów zbyt wiele nie miałem. W większym stopniu były udziałem kolegów badających okres okupacji hitlerowskiej, nie mówiąc już o piszących o latach powojennych, czego wówczas nie uważałem za autentyczną historiografię, lecz zamaskowaną publicystykę polityczną. Inaczej mówiąc – trudności mnożyły się w miarę zbliżania się do współczesności, wszak chodziło o legitymizację władzy czy jej kwestionowanie. Ja zaś raczej więcej żywiłem obaw, niepokojów każdorazowo oczekując decyzji cenzury, niż natykałem się na rzeczywiste przykrości pisarskie. Po latach pojąłem na czym mechanizm zachowań cenzorów polegał. Każdy z nich – niezależnie od swoich cech indywidualnych – był przecież urzędnikiem, więc nastawiał się na doraźność, na znalezienie w tekście, którego sprawdzenie przypadło mu w udziale, w danym momencie politycznie źle brzmiącego słowa czy zwrotu, również niedyskretnej – okreśmy to tak – informacji, czyli faktografii pozostającej w związku ze współczesnością, chociażby na zasadzie dla niego przejrzystej (niekoniecznie tak pomyślanej przez autora) analogii. W takich przypadkach ingerował w tekst, dokonywał cięć bądź żądał zmiany sformułowania. Groźny był więc przede wszystkim dla autorów-reklamiarzy, dla nastawionych na robienie wokół siebie hałasu, zwrócenie na siebie uwagi czytelnika tanimi efektami

⁹ „Kwartalnik Historyczny” 1969, nr 3, s. 783–788. Wspomniana wymiana listów z cenzurą znajduje się w moich zbiorach.

retorycznymi, nie zaś sumiennością badawczą, wgłębianiem się w gąszcz źródeł, odnajdywaniem nowych przekazów czy przemyśleniem nowatorskim spraw, zdawałoby się, już w pełni znanych. Poniekąd zmiany w cenzuralnej „czujności” bywały przewidywalne. Towarzyszyły, z niedużym opóźnieniem, zmianom politycznym oraz przesunięciem „frakcyjnym” w obrębie kierownictwa PZPR. Cenzura otrzymywała wtedy stosowne dyrektywy od aparatu KC PZPR. Z reguły cechowała je nie pryncypialność a koniunkturalizm połączony z represyjnością. Toteż niekiedy wystarczała zmiana słownictwa czy retoryki, by uniknąć przykrości. Na przykład zastąpienie w pewnej chwili – zresztą trwało to niedługo – terminu AK zwrotem ruch oporu. Co rozsądniejsi cenzorzy zdawali sobie sprawę z przejściowości takich dyrektyw i – po minięciu pierwszego impetu – wracali do poprzednich norm postępowania.

Gdzieś do połowy lat sześćdziesiątych, gdy wśród pracowników cenzury znajdowały się „ciotki i wujowie rewolucji”, czyli byli członkowie Komunistycznej Partii Polski, zdarzały się z ich strony ingerencje w przypadkach opisów bądź ocen nie będących w zgodzie z ich pamięcią o danych wydarzeniach czy zapamiętaną dawną partyjną tychże oceną. Tacy jednak stopniowo odchodzili na emeryturę, a w urzędzie dominować zaczęli ludzie dbający, żeby nie narazić się zwierzchności niewypełnianiem otrzymywanych dyrektyw (bądź pragnący się wyróżnić przesadną gorliwością, jak w wyżej opisanym moim przypadku). Biurokratyczny charakter cenzury (zatem i merytoryczna niekompetentność) sprawiał, że pilnowała słów czy zwrotów, natomiast w dużym stopniu uchodziły płazem podejścia ideologiczne (nawet wielkie w tym okresie operacje), odniesienia do rzeczywistości historycznej, pośrednio do społecznej czy politycznej, a wielce krytyczne wobec reżimu czy nawet aktualnego stanu rzeczy, słowem właśnie sprawy zasadnicze. Skoro nie było to wykładane wprost, stanowiło dla cenzury raczej rzeczą wtórną, nie wychwytywała takich „niuansów”. Dość jaskrawym przykładem tej mentalności mogą być losy mojej monografii pt. *Wybory warszawskie 1918–1926. Postawy polityczne mieszkańców Warszawy w świetle wyników głosowania do ciał przedstawicielskich*, która ukazała się pod koniec 1972 r. w Państwowym Wydawnictwie Naukowym (PWN). Wpływy KPP, w dotychczasowej historiografii niepomierne przesadnie przedstawiane, zostały tu zredukowane do rzeczywistych rozmiarów. Ówczesny dyrektor naczelny PWN J. Wołczyk, którego moi „przyjaciele” ostrzegali, jaki dynamit monografia zawiera, osobiście przeglądnął maszynopis i wyraził kierownikowi Redakcji Historii opinię, że wszystko jest poważnie udokumentowane, lecz stanowi ładunek wybuchowy, który w ręku cenzury może wybuchnąć i spowodować dla Wydawnictwa straty materialne, nie mówiąc już o politycznych. Rozmówca, był nim wspomniany już E. Frącki, uspokoił dyrektora. Powołując się na swoje wieloletnie doświadczenia z cenzurą, zapewnił go, że wie jak ją uspokoić. Nader więc starannie śledził za stylistyczną redakcją tekstu, dokonywaną przez redaktora,

by nie wzbudzała odruchów cenzora. Dzięki temu ten rzeczywiście nie zwrócił uwagi na stronę merytoryczną i tekst powrócił od niego do redakcji bez żadnych zastrzeżeń¹⁰.

Generalnie biorąc, cenzura jako urząd – ściślej: jej pracownicy – miała mentalność biurokratyczną, co w pewnych, nawet nader drażliwych sytuacjach działać mogło na korzyść historyka. Tak np., kiedy jesienią 1966 r. zostałem zwolniony przedterminowo z więzienia, zwróciłem się do Edwarda Frąckiego, wówczas jeszcze sekretarza redakcji „Mówią Wieki”, z pytaniem czy istnieją dla mnie jakieś szanse publikacyjne. Z miejsca zapewnił mnie, że mogą spokojnie wziąć się za pisanie, bez obaw o reakcję na to cenzury. Wyjaśnił: przecież to urzędnicy, dla nich jesteś wręcz „swój chłop”. To inni mieli „przez ciebie” przykrości, musieli pisać wyjaśnienia itp. Od nich nikt tego w twojej sprawie nie żądał, nie musieli się z niczego usprawiedliwiać. Rzeczywiście – bez najmniejszych wstrętów z tej strony – już pod koniec 1967 r. ukazała się moja kolejna rozprawa historyczna, zresztą na temat mogący wzbudzić wątpliwości natury politycznej¹¹. Nie mogę w tym miejscu nie zaznaczyć jednak odwagi decyzji przyjęcia jej do druku w „Kwartalniku” przez profesorów Bogusława Leśnodorskiego i Stanisława Trawkowskiego. Oni zresztą tuż po moim wyjściu z więzienia, zobaczywszy mnie na korytarzu Instytutu Historii, zaprosili do redakcji i jednym z pierwszych pytań, jakie postawili było, co zamierzam dalej robić. Nie zgłosili zastrzeżeń ani obaw, kiedy usłyszeli, iż zamierzam kontynuować swoje badania i publikować ich wyniki, m.in. w ich periodyku. Natomiast urzędnicza troska cenzorów o nie-narażenie się niekiedy owocowała ingerencjami niczym innym nie uzasadnionymi. Tak np. zeszyt „Kwartalnika Historycznego” wydany w sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości w 1918 r. został w związku z ową datą cenzuralnie niemal zmasakrowany. Urzędnik nie mógł więc pominąć w tej operacji czujnościowej również mego artykułu. Poczynił zatem w nim jedną ingerencję, merytorycznie niezrozumiałą, jako że konstatacja zawarta w usuniętym zdaniu powtarzała się w rozprawie jeszcze kilkakrotnie. Sądzę, że motyw ingerencji był życiowy: skoro w innych znaleziono jakieś „niewłaściwości”, nie można mego pozostawić w stanie dziewiczym. Wszak cenzor w takim przypadku łatwo mógłby narazić się na zarzut kumoterstwa, czy chociażby na podejrzenia, iż z lenistwa najzwyczajniej nie przeczytał go¹².

¹⁰ Pewien badacz, na moje szczęście już po ukazaniu się książki, dostrzegł moją „rewizję”, rzekomo pomniejszającą bojowość rewolucyjną proletariatu stolicy w 1919 r. Por. M. M. Drozdowski, *Miejsce stołecznej klasy robotniczej w społeczeństwie Warszawy lat 1918–1939*, w: *Spółczesność Warszawy w rozwoju historycznym*, Warszawa 1977, s. 611–614. Moja replika: „Dzieje Najnowsze” 1983, nr 1–2, s. 31, przyp. 23.

¹¹ L. Hass, *Działalność wolnomularstwa polskiego w latach 1908–1915 (w relacji pamiętnikarskiej M. Malinowskiego)*, „Kwartalnik Historyczny” 1967, nr 4, s. 1045–1063.

¹² L. Hass, *Związek Patriotyczny 1918–1926. Z dziejów infrastruktury życia politycznego Drugiej Rzeczypospolitej*, „Kwartalnik Historyczny” 1978, nr 4, s. 913–942.

Owa „łagodność”, niemal „idylliczność” cenzury – takie wrażenie obecny czytelnik mógłby odnieść z tych moich doświadczeń, widoczna staje się dopiero z perspektywy dziesięcioleci, jakie od opisywanych wydarzeń upłynęły. Na bieżąco jednak autor – przynajmniej ja – przeżywał w przypadku każdego artykułu czy książki, jaką wydawnictwo w trybie normalnym przekazywało do cenzury, niepokój: co się też wydarzy, czy rzecz ujrzy światło dzienne w druku. Orientował się też, że poważniejsze ingerencje spowodować mogą, iż edytorzy, wiadomości o takich przypadkach szybko rozchodzą się w środowisku, na przyszłość z niechęcią odnosić się będą do jego kolejnych propozycji wydawniczych.

W atmosferze wspomnianych obaw piszących i wydawców samo czyjeś powoływanie się na rzekome reakcje cenzury bądź wypowiedzi cenzorów nie raz służyło niektórym „ustosunkowanym” historykom do bardziej czy mniej skutecznego załatwiania swoich osobistych interesów, czyli usuwania z pola konkurentów, chociażby zaledwie potencjalnych. Tak np. jeszcze w 1967 r., tuż po moim wspomnianym już opuszczeniu celi więziennej, redaktor seryjnego wydawnictwa „Warszawa II Rzeczypospolitej 1918–1939” zamówił u mnie do jego zeszytu pierwszego dwie rozprawy, stanowiące część pisanej przeze mnie dysertacji doktorskiej: *Wybory do Sejmu Ustawodawczego (26 I 1919) w Warszawie* oraz *Wybory do Rady Kasy Chorych (25 IX 1921)*. Złożyłem je w ustalonym terminie, przeszły też przez normalny proces wydawniczy, a cenzura nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń. Kiedy w 1968 r. wyplacono mi, jak i pozostałym autorom tego zeszytu, pełne honorarium, było to równoznaczne z ukazaniem się w najbliższym czasie w tej publikacji moich rozpraw. Rzeczywiście ukazała się, jednak bez moich pozycji. Zapytana o przyczyny tego, Redakcja Historii PWN, dla niej było to wydawnictwo zlecone przez Instytut Historii PAN, wyjaśniła, iż obie rozprawy zostały w ostatniej chwili wycofane przez wspomnianego redaktora naukowego, który je zamówił, osoby, która do wydarzeń Marca '68 wprawdzie przyłączyła się z pewnym opóźnieniem, lecz nadrabiała je wzmogoną gorliwością. To poniekąd ów incydent tłumaczyło. Zapytałem jednak owego pana wprost o przyczyny takiego wobec mnie kroku już po pozytywnym przejściu artykułów przez sito cenzury. Odpowiedź brzmiała: Wydział Nauki był złego zdania o nich. Oczywiście nie usłyszałem dlaczego w ogóle znalazły się w tej instytucji¹³.

¹³ Teksty obu rozpraw (druk z pieczętkami „Po przeprowadzeniu wszystkich poprawek można drukować” i „PWN Poznań Korektę wykonał” Redakcja Historii PWN przekazała mi – za pokwitowaniem – 14 stycznia 1969 r., znajdują się w moich zbiorach. We wspomnianym zeszycie miały to być strony 287–378. W skróconej wersji rozprawy te ukazały się jako rozdz. II i VI moich *Wyborów warszawskich 1918–1926* (Warszawa 1972).

Wspomniane wycofanie rozpraw wydarzyło się jeszcze przed intrygą, która zaowocowała opowiedzianym już usunięciem mojej recenzji pamiętników W. Witosa. Jedno i drugie nastąpiło po artykule A. Werblana *Do genezy wydarzeń marcowych* („Miesięcznik Literacki” 1968, nr 8), w którym znalazł się akapit poświęcony mej skromnej osobie. Zostałem w nim przedstawiony, całkowicie bezpodstawnie, jako jeden z inspiratorów tych wydarzeń.

Sprawa jednak na tym nie mogła się zakończyć – w redakcji wspomnianej serii leżała bowiem jeszcze jedna moja rozprawa, również uprzednio zamówiona, mianowicie o wyborach parlamentarnych w Warszawie w listopadzie 1922 r., przeznaczona do zeszytu 2 „Warszawy...”, która również nie ukazała się, o czym prywatnymi kanałami zostałem uprzedzony, kiedy ów zeszyt znajdował się jeszcze w toku procesu redakcyjnego w PWN. Na moje zapytanie skierowane do tegoż redaktora naukowego, a napisane na karteczce i wręczone mu w toku jakiegoś zebrania naukowego, otrzymałem na tymże karteluszk ręcznie napisaną odpowiedź: „Wołczyk nie chce publikować ze względów politycznych twoich rozpraw. Mogę załatwić tylko honorarium. Sprawa wymaga interwencji w Wydziale Nauki KC”. Tyle było w tym prawdy co w poprzednim wyjaśnieniu.

Oto bowiem pod koniec 1969 r. – bodajże w październiku, zgłosiłem się do dyrektora naczelnego PWN, czyli owego „Wołczyka”, na rozmowę. W jej toku oświadczył, iż ani jednego mego artykułu nie wycofał, czynił to wyłącznie naukowy redaktor serii „Warszawa...”. Dodał też, że dla postawienia kropki nad „i” pismo, stwierdzające ów fakt, otrzyma Dyrekcja Instytutu Historii PAN, co też nastąpiło¹⁴.

Z podobnym przypadkiem wykorzystywania dla celów prywatnych opinii osoby dobrze poinformowanej, jaki miał miejsce w opisanym incydencie usunięcia przez cenzora mej recenzji, zetknąłem się raz jeszcze, u schyłku lat siedemdziesiątych, czyli w atmosferze odmiennej od panującej dziesięć lat wcześniej. Oto ówczesny konsultant naukowy w sprawach historii wydawnictwa „Ossolineum” we Wrocławiu, osoba niejako „rodzinnie” dobrze zorientowana w intencjach władzy, zapewnił redaktora naczelnego tego wydawnictwa, iż zawartą ze mną umowę na napisanie *Historii wolnomularstwa w Europie Środkowo-Wschodniej* należy w sposób zręczny zerwać. W przypadku bowiem opublikowania tej książki może oczekiwać utraty stanowiska, raczej nawet nie on jeden. Ten zatem usiłował w rozmowie telefonicznej skłonić mnie, chyba w 1978 r., do rozwiązania umowy za obustronną zgodą, zarazem obiecując mi wspaniałe gruszki na wierzbie, na które jednak nie połamiałem się. Rozpoczęły się zatem ze strony wydawnictwa rozmaite podchody mające mnie zde gustować, m.in. gra na zwłokę z drukiem. Merytorycznie bowiem książki nie dało się odrzucić, jako

¹⁴ Zacytowana kartka z odpowiedzią redaktora serii znajduje się w moich zbiorach, natomiast nie mogę stwierdzić, czy w archiwum IH PAN zachowało się wspomniane pismo dyrektora naczelnego PWN. Jako mało istotne mogło ulec zniszczeniu w ramach rutynowego okresowego brakowania akt. Ówczesnie wymieniona w tym piśmie osoba dość publicznie, m.in. w mojej obecności, oświadczyła: dyrektor Wołczyk pragnie teraz uchodzić za liberała i przysłał list w sprawie Ludwika. Dyrekcja odpowie mu. Wątpię by takiej odpowiedzi udzielił. Na długo przed rozmową z naczelnym dyrektorem PWN pisemnie zwróciłem się do dyrektora IH PAN w sprawie dziwnych manipulacji wokół wspomnianego artykułu (list z 28 kwietnia 1969 r.), żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

że zamówiona u prof. Stefana Kieniewicza recenzja utrzymana była niemal w samych superlatywach. Dopiero ukazanie się w 1979 r. w wysokonakładowym tygodniku „Argumenty” mego pióra cyklu 12-stu odcinkowego *Wolnomularstwo na ziemiach polskich*, zaś rok później w PIW mojej monografii *Sekta farmazonii warszawskiej* (w obu przypadkach bez negatywnych konsekwencji dla wydawców) posiało u wspomnianego redaktora naczelnego wątpliwości co do „dobrego poinformowania” owego doradcy naukowego. We Wrocławiu przystąpiono więc, nieoczekiwanie dla mnie, do redakcyjnego opracowania maszynopisu i książka ukazała się¹⁵.

Przedstawione przypadki–przykłady działania cenzury i gierk osób podszycających się pod nią daleko nie wyczerpują problematyki kontroli sprawowanej przez kierownicze ośrodki partyjno-państwowe nad twórczością historyków. Skłonny wręcz jestem do formułowania wniosku, iż nieporównanie bardziej dogłębny wpływ na nią wywierała cenzura – nazwijmy to tak – w szerokim słowa znaczeniu, niejako pozaurzędowa. Jednym z jej mechanizmów była autocenzura autorska. Psychologiczne zastraszenie, mniejsza o to czy i na ile zasadne, w jakimś stopniu kierowało piórem piszącego. Niemal bezwiednie zastanawiał się jak na napisane zareaguje nie tylko urzędowa cenzura, lecz i redakcja wydawnictwa. Tam zaś w jednych przypadkach ograniczano się do troski, by je nie narażać na przykre konsekwencje administracyjno-polityczne za opublikowanie, czy raczej przepuszczenie przez sito redakcyjne, tekstów, które urząd cenzury mógłby uznać za niewłaściwe. W innych można było się spotkać z nadmierną gorliwością, czy „czujnością” polityczną niektórych redaktorów bądź ich szefów. Różnie z tym bywało. W momencie mego aresztowania w marcu 1964 r. miałem trzy umowy wydawnicze po jednej z PWN, „Wiedzą Powszechną” i „Książką i Wiedzą”. Pierwsze z tych wydawnictw tuż po upływie terminu złożenia maszynopisu, pismem z 6 czerwca 1966 r. upomniało się o zwrot zaliczki otrzymanej na poczet umowy. Zostało ono wysłane na mój adres domowy, mimo że w prasie – przynajmniej w „Trybunie Ludu” i „Polityce” – jeszcze na początku roku ukazała się informacja o procesie i wyroku skazującym. Po zwolnieniu z więzienia pisemnie zwróciłem się (list z 16 listopada 1966 r.) z prośbą o przedłużenie terminu złożenia maszynopisu do 31 grudnia 1967 r. Prośba została odrzucona, jakkolwiek zaproponowany przeze mnie termin był w pełni realny, dotyczył bowiem opracowania zaledwie 8-arkuszowego *Obóz piłsudczyków 1908-1927* (dla serii wydawniczej „Omega”). Traktując sprawę z punktu widzenia strat dla nauki, może powstałoby coś dla historiografii pożytecznego. Wydawnictwo też z żelazną konsekwencją wyegzekwowało ode mnie zwrot zaliczki, jakkolwiek wiedziało, iż pozostaję bez etatowego zatrudnienia, a dochody moje z roz-

¹⁵ L. Hass, *Wolnomularstwo w Europie Środkowo-Wschodniej w XVIII i XIX wieku*, Wrocław 1982.

maitych prac redakcyjnych i innych zleconych są nader skromne. Natomiast w przypadku dwu pozostałych wydawnictw obeszło się bez groźnych listów-mońitów, poszły na kompromis i – jakkolwiek przewidzianych umowami pozycji nie napisałem – innymi zleceniami umożliwiły mi sukcesywne, rozciągnięte w czasie, pogaszenie zaliczek.

Wreszcie kwestia nieformalnych cenzorów w obrębie samych redakcji. W „Kwartalniku Historycznym”, przynajmniej do połowy lat sześćdziesiątych taką funkcję pełnił pewien profesor, formalnie tylko członek Komitetu Redakcyjnego. Zetknąłem się z tą jego rolą gdzieś w połowie 1960 r., w związku z moją pierwszą większą rozprawą naukową *Kształtowanie się lewicowego nurtu w Polskiej Partii Socjalistycznej na tle sytuacji wewnątrzpartyjnej (listopad 1923 – maj 1926)*¹⁶. W jakiś czas po złożeniu maszynopisu zostałem poinformowany, że dla omówienia go mam przyjść o określonej godzinie takiego to a takiego dnia do wskazanego mi pokoju w budynku Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Zastałem tam znanych mi z wcześniejszej współpracy z „Kwartalnikiem Historycznym” jego redaktora naczelnego prof. Bogusława Leśnodorskiego, sekretarza redakcji, późniejszego profesora, Tadeusza Łepkowskiego, i wówczas nieznanego mi jeszcze jednego pana. On właśnie ostro zabrał się do mojego tekstu, kwestionował w nim akapity odbiegające od przyjętej wówczas wersji dziejów PPS, bez próby powoływania się na jakąkolwiek dokumentację, zwyczajnie na podstawie swego autorytetu. Nie orientując się w całej delikatności sytuacji, ostro replikowałem na zarzuty, powołując się na wykorzystane (i cytowane w przypisach) źródła. W jednym punkcie wręcz zarzuciłem memu „recenzentowi” ahistoryczność podejścia do któregoś z wątków. On natomiast w pewnej chwili zapytał mnie – bez związku z tematem – o miejsce mojej pracy zawodowej. Odpowiedź: Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, poniekąd zaskoczyła go. Było to bowiem miejsce, gdzie nie mogło być mowy o „politycznej” z jego strony interwencji, naczelny dyrektor Henryk Altman miał mocną pozycję, zaś w sądach o ludziach był całkowicie samodzielny. Dwaj pozostali cały ten czas milczeli. Dwugodzinny, chyba, dialog-polemikę przerwał prof. Leśnodorski konkluzją: autor zbadał źródła, więc do niego należy ostatnie słowo jak było. O znaczeniu całej tej wymiany zdań czy poglądów nieco zorientowałem się w kilka dni później, kiedy z maszynopisem ponownie przyszedłem do redakcji „Kwartalnika”. Starsza pani, pełniąca w niej funkcję sekretarki technicznej i maszynistki, powiedziała mi z nieskrywanym zdumieniem: pan odrzucił wszystkie uwagi Profesora. Oczywiście, nie opowiedział jej o tym on sam, lecz jeden z dwu przysłuchujących się „wymianie zdań”. Widocznie było coś niecodziennego w tym, że znalazł się ktoś – przy tym zupełny nowicjusz – kto ośmielił się konsekwentnie oponować „politrukowi”.

¹⁶ Rozprawa pod tymże tytułem ukazała się – „Kwartalnik Historyczny” 1961, nr 1, s. 69–105.

Na tym epizodzie nie zakończyły się moje kontakty z nim. W 1964 r. (może pod koniec 1963 r.) w jednej z dyskusji na zebraniu Towarzystwa Miłośników Historii wypowiedziałem ówczasie heretycko brzmiące sądy na temat lewicowego, jednolitifrontowego skrzydła PPS drugiej połowy lat trzydziestych, jego współpracy z całkowicie zstalinizowaną KPP, zbrodni stalinowszczyzny w Hiszpanii lat wojny domowej i ich ukrywania wtedy przez gloryfikowany w naszej historiografii „Dziennik Popularny”. Jakkolwiek wspomniany „komisarz polityczny” nie był na sali obecny, najwidoczniej został poinformowany o tak bogoburczym wystąpieniu i zareagował na nie surową sankcją: zarządził, żeby „Kwartalnik” natychmiast i całkowicie zerwał stosunki ze mną, prof. Leśnodorskiemu – jak się później zorientowałem – nie pozostawało nic innego niż wykonanie dyrektywy. Zaś jej autor – po pewnym czasie stało się to mi wiadome – pochwalił się na posiedzeniu Komisji Historycznej przy Wydziale Nauki KC PZPR poczynionym przez siebie krokiem.

Opisane przeze mnie rozmaite epizody prowadzą – tak mi się wydaje – do konkluzji ogólnej: strach ma wielkie oczy. Cenzura raczej nie zniweczyła żadnego poważniejszego przedsięwzięcia historyka, jeśli odważył się, mimo wszystko, podjąć je. Obecnie, po latach, najhałaśliwiej wspominają o szkodach wyrządzonych przez cenzurę ci, którzy z wyrachowania swoje pióro dostosowywali do wymogów, nieraz tylko przez siebie wydedukowanych, kierownictwa PZPR, co więcej, niekiedy nawet sami organizowali pewne kampanie represyjne.